Pasje lingwistów – Nazwisko jak penis

7 stycznia 2016

Niektóre niewinne słowa mają wulgarne znaczenie w innych językach. Najgorzej, gdy zjawisko to dotyczy imion i nazwisk.

Nowy premier Francji, 62-letni Jean-Marc Ayrault został wybrany przez prezydenta Hollande'a m.in. ze względu na biegłą znajomość języka niemieckiego i znaczenie jakie dla Francji mają kontakty z Niemcami na najwyższym szczeblu w zakresie wspólnej polityki europejskiej. Ayrault jest z wykształcenia germanistą i przed wejściem w świat polityki był w latach 1973-1986 nauczycielem niemieckiego w liceum w Saint Herblain koło Nantes, gdzie potem został wybrany burmistrzem.

Po jego nominacji na premiera, z językiem niemieckim jest, oczywiście, nadal wszystko w porządku, ale zaczął się polityczny problem z jego nazwiskiem w języku arabskim. Dla Francji jest to ważne, bo nie tylko ma u siebie prawie 5 milionów muzułmanów z krajów arabskich, ale też utrzymuje specjalne stosunki z takimi krajami jak Algieria, Maroko, Tunezja albo Liban, gdzie mówi się po arabsku. A w tym języku obce słowa trzeba transkrybować na alfabet arabski, czyli zapisywać je w nim tak, jak się je słyszy. „Ejró", jak brzmi arabska transkrypcja nazwiska Ayrault, znaczy po arabsku „penis". Problem zauważono od razu, tak że w dniu nominacji nowego premiera francuskie MSZ wydało komunikat z zalecaną oficjalną transkrypcją jego nazwiska na arabski, zawierającą końcowe litery „-lt", których we francuskim wcale się przecież nie słyszy. Wersję tę przyjął tylko libański dziennik „an-Nahar", ale inne gazety (i stacje głosowe) jak się okazało mają niemały problem. Wychodzący w Londynie ważny dziennik arabski, „al-Hayat", uważany za politycznie neutralny autorytet językowy w świecie arabskim, wybił w tytule trochę toporną wersję z wymową Aro, którą chyba przyjęto w krajach

Maghrebu i północnej Afryki, natomiast w krajach Maszreku (na wschód od Afryki) lansuje się wersję „Aygho”. Osobiście wolę tę drugą wersję, bo francuskie R brzmi rzeczywiście raczej jak arabskie غ (gh) niż jak ر, które odpowiada warczącemu R w wymowie włoskiej albo polskiej. Stosuje się też rozmaite uniki, jak np. w tytule, który znalazłem w dubajskiej gazecie „al-Bayan”: „Hollande rozpoczyna władzę wyznaczając Jean-Marca swym premierem”.

Nie jest to pierwszy polityk, który ma takie problemy z nazwiskiem. Jeszcze większe miał dyplomata pakistański Akbar Zeb, wyznaczony na ambasadora do Arabii Saudyjskiej. Akbar to porządne imię muzułmańskie, jeden z 99 przymiotników, jakimi określa się Boga i które znaczy „wielki” (słynny okrzyk „Allahu akbar”). I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że „zeb” to po arabsku wyjątkowo wulgarna nazwa tego samego organu, jaki razi nawet w zwykłej formie Ayrault. No, i jeszcze w dodatku miałby być taki wielki… W ostatniej chwili nieszczęsny dyplomata dostał inny przydział, bodajże do Brazylii. Prawdopodobnie sam uznał, że w Arabii czułby się nieswojo.

Skoro o takim odczuciu się zgadało, to przypomina mi się anegdotyczna opowieść o trzech górnikach, jacy jeszcze za Gierka mieli być wysłani na praktykę do Francji w nagrodę za rekordowe fedrowanie. I sekretarz partii w Katowicach wezwał ich wtedy na krótką odprawę i pouczył przed wyjazdem następująco: „No to co wom bende, chopy, godoł? Francja to jezd inny kraj, gorzołę słabo chlejom, żaby, ślimoki wpieprzajom, nie po naszymu godojom, nawet imiona mojom inne. No, ty Ludwik, nie byńdziesz u nich Ludwik, ino byńdziesz Lui. Ty Gustaw, nie byńdziesz u nich Gustaw, ino byńdziesz Gui. A ty, Hubert…” – „A nieee, jo nie jade!” brzmiała szybka i stanowcza odmowa Huberta.

Powróćmy do nazwisk polityków. Brytyjscy politycy musieli zapewne napinać mięśnie twarzy, kiedy witali się z premierem Holandii, który nazywał się Wim Kok i rządził tam w latach

1994-2002, ponieważ nazwisko to w wymowie angielskiej znaczy to samo co u Arabów Zeb. Podobne kłopoty miał w Szwecji amerykański aktor i producent filmowy Brad Pitt, ponieważ u Szwedów ‘pitt’ to ciągle to samo słowo, które tu sobie tak lubieżnie obrabiamy. Aby skończyć z genitaliami wspomnę jeszcze tylko o brytyjskim polityku, który w obecnym gabinecie cieni Labour Party pełni funkcję ministra gospodarki i finansów (Shadow Chancellor of the Exchequer). Nazywa się Ed Balls i łatwo sobie wyobrazić, że jego nazwisko musi budzić sporą wesołość wśród wyborców, ponieważ tak właśnie po angielsku określa się potocznie męskie jądra. W Polsce to przynajmniej w tej sytuacji mógłby wyborcom kojarzyć się pozytywnie jako „polityk z jajami”, ale w Anglii, biedak, nawet takiego pożytku ze swego nazwiska nie ma, bo o takich ludziach mówi się tam, że „mają kiszki” („guys with guts”).

Wspomnę przy tej okazji o Putinie, którego nazwisko we Francji prasa starannie przerabia na Poutine, ponieważ w wersji Putin wymawiano by je tak jak słowo „putain”, czyli „kurwa”. Hm, sam nie wiem co o tej zamianie sądzić, ale tak sobie myślę, że gdyby rzecz dotyczyła Polski nie radziłbym w sprawie pisowni akurat tego nazwiska robić u nas referendum. W Hiszpanii na dźwięk nazwiska Putin można usłyszeć chichot, bo słowo to jest zdrobniałym określeniem pedała z zabarwieniem „ciota” lub „cwel”. Ogólnym określeniem pedała w hiszpańskim jest jednak „maricón”.

Kłopotliwych nazwisk jest ogromna ilość, zależnie od tego do jakiego języka je odniesiemy i pewno niejeden z nas byłby zaskoczony, co jego nazwisko znaczy, albo z czym się w obcym języku kojarzy, zwłaszcza jeśli ma nazwisko krótkie i fonetycznie proste. Ale i imiona potrafią płatać figle. Mam przyjaciela, Portugalczyka, który pracuje w centrali Biedronki u Geronimo Martinsa i tak jak ja jest entuzjastą fado. Na imię ma Ruiz, co w wymowie portugalskiej (luzytańskiej) brzmi jak „chuj”. Sporo się nabiedziłem, żeby go przekonać, aby się inaczej tu u nas przedstawiał, co wcale nie było łatwe, bo na

drugie ma Alfonso. O wiele mniej kłopotu miałem, kiedy moja kuzynka Beata szła do pracy w meksykańskiej firmie Cemex (największy na świecie producent cementu). Dała mi się łatwo przekonać, aby używała drugiego imienia – Ewa, ponieważ „beata” to po hiszpańsku „dewotka”, co kojarzy się tam dużo bardziej negatywnie i obciążająco niż u nas. Wynika z tego, że czasem dobrze jest mieć jednak jakieś drugie imię.

Takich nazw i słów można znaleźć doprawdy setki, choć trzeba by przysiąść fałdów i zrobić dłuższą kwerendę lingwistyczną. Przy moim obecnym bilansie czasowym tego obiecać nie mogę. Wspomnę jeszcze na koniec o innym moim znajomym, Kanadyjczyku imieniem Gary, który mieszkał kilka lat w Japonii i miał wizytówkę z transkrypcją swego imienia, którym się ochoczo przedstawiał. Gary pisane jako □□, po japońsku znaczy „sraczka” lub „biegunka”. Biedak długo o tym nie wiedział, choć dostrzegał dziwnie zwiększony wysiłek w utrzymywaniu typowo japońskiej powagi na twarzy przez jego rozmówców.

Osobną historią są nazwy miejscowości, firm itp. Któregoś roku rozbawiła mnie w Austrii mijana wioska o nazwie Fucking. Nawet się zastanawiałem, czy by tam nie przenocować, ale miała 104 mieszkańców i wolałem nie ryzykować.

Autorstwo: Bogusław Jeznach
Źródło: NEon24.pl